

---

Ryszard Kapuściński

---



---

Czytelnik

---



---

Ryszard Kapuściński

---

IMPERIUM

---

CZYTELNIK · WARSZAWA 2013

Okładkę i kartę tytułową projektował  
Andrzej Heidrich

Copyright © by the Estate of Ryszard Kapuściński, 2007

ISBN 978-83-07-03318-1

– czyli, że to są dziwy; i to wszystko się składa na obraz –

– Imperium

*Andriej Bielyj*

Rosja wiele widziała w ciągu tysiąca lat swoich dziejów. Jednego tylko nie widziała Rosja przez tysiąc lat – wolności.

*Wasilij Grossman*

Teraźniejszość jest czymś, co nas wiąże. Przyszłość tworzymy sobie w wyobraźni. Tylko przeszłość jest czystą rzeczywistością.

*Simone Weil*

W Rosji cała energia artysty powinna być skierowana na pokazanie dwóch sił: człowieka i przyrody. Z jednej strony słabość fizyczna, nerwowość, wczesne dojrzewanie seksualne, namiętne pragnienie życia i prawdy, marzenia o szerokiej jak step działalności, pełna niepokoju analiza, niedostatek wiedzy przy wysokich wznoszeniach myśli, a z drugiej – bezkresna równina, surowy klimat; surowy, szary naród z jego ciężką, ponurą historią, tatarszczyzna, czynownictwo, ciemnota, bieda, wilgotny klimat stolic, apatia słowiańska itp. Rosyjskie życie tak młóci Rosjanina, że ten się pozbierać nie może, młóci jak tysiąc pudowy kij.

*Antoni Czechow*

Zasadnicze wrażenie, jakie odnieśliśmy po przyjrzeniu się sytuacji w Rosji – to obraz olbrzymiego, niedającego się naprawić krachu. Historia nie znała jeszcze tak gigantycznej katastrofy.

*H.G. Wells, 1920*

Przygoda Związku Radzieckiego jest największym doświadczeniem i najważniejszym zagrożeniem ludzkości.

*Edgar Morin*

Rosja zwymiotowała tę ohydę, którą ją karmiono.

*Fiodor Dostojewski*

Ustrój, jaki nami rządzi, to połączenie starej nomenklatury, rekinów finansjery, fałszywych demokratów i KGB. Tego nie mogę nazwać demokracją – to wstrętna, niemająca precedensu w historii hybryda, o której nie wiadomo, w jakim kierunku będzie się rozwijać... [ale] jeśli ten sojusz zwycięży, będą nas eksploatować nie przez 70, ale przez 170 lat.

*Aleksander Solżenicyn, 1992*

Coś tam się rozjaśniło, ale coś nadal pozostaje niejasnym.

*Władimir Wojnowicz*

*Książka ta składa się z trzech części:*

*Część I nazywa się „Pierwsze spotkania (1939–1967)” i jest relacją z moich dawnych pobytów w Imperium. Opowiadam w niej o wkroczeniu wojsk sowieckich do mojego rodzinnego miasteczka na Polesiu (dziś jest tam Białoruś), o podróży przez zaśnieżoną i bezludną Syberię, o wyprawie na Zakaukazie i do republik Środkowej Azji, a więc do obszarów b. ZSRR pełnych egzotyki, konfliktów i osobliwej, pełnej emocji i sentymentów atmosfery.*

*Część II nazywa się „Z lotu ptaka (1989–1991)” i zdaje sprawę z kilku moich dłuższych wędrówek po rozległej ziemi Imperium, jakie odbyłem w latach jego schyłku i ostatecznego rozpadu (ostatecznego w każdym razie w tej formie, w jakiej istniał do roku 1991). Podróże te odbywałem sam, omijając oficjalne instytucje i trasy, a szlak tych wypraw prowadził od Brześcia (granica b. ZSRR z Polską) do Magadanu nad Pacyfikiem i od Workuty za kołem polarnym do Termezu (granica z Afganistanem). W sumie jakieś 60 tysięcy kilometrów.*

*Część III nazywa się „Ciąg dalszy trwa (1992–1993)” i jest to zbiór refleksji, uwag i notatek powstałych na marginesie moich podróży, rozmów i lektur.*

*Książka jest napisana polifonicznie, to znaczy przewijają się przez jej stronicę postacie, miejsca i wątki, które mogą powracać kilkakrotnie w różnych latach i kontekstach. Wbrew jednak zasadzie polifonii, całość nie kończy się wyższą i ostateczną syntezą, lecz przeciwnie – dezin-*

*tegruje się i rozpada, a to dlatego, że w trakcie pisania książki rozpadowi uległ jej główny przedmiot i temat – wielkie mocarstwo sowieckie. Na jego miejsce powstają nowe państwa, a wśród nich – Rosja, ogromny kraj, zamieszkały przez naród, który od wieków ożywiała i jednoczyła ambicja imperialna.*

*Książka ta nie jest ani historią Rosji i byłego ZSRR, ani historią narodzin i upadku komunizmu w tym państwie, ani też podręcznym kompendium wiedzy o Imperium.*

*Jest ona osobistą relacją z podróży, jakie odbyłem po wielkich obszarach tego kraju (czy raczej – tej części świata), starając się dotrzeć tam, gdzie mi pozwoliły czas, siły i możliwości.*



Pierwsze spotkania  
(1939–1967)



## Pińsk, 39

Moje pierwsze spotkanie z Imperium odbywa się przy moście łączącym miasteczko Pińsk z Południem świata. Jest koniec września 1939. Wszędzie wojna. Płoną wioski, ludzie chowają się przed nalotami po rowach i lasach, gdzie mogą, szukają ratunku. Na naszej drodze leżą zabite konie. Chcecie jechać dalej, radzi jakiś człowiek, musicie usunąć je na bok. Ile przy tym mitręgi, ile potu: martwe konie są bardzo ciężkie.

Tłumy uciekających, w pyłe, w kurzu, w panice. Po co im tyle tobołków, tyle walizek? Po co tyle czajników i garnków? Dlaczego tak złorzeczą? Dlaczego bez przerwy o coś pytają? Wszyscy gdzieś idą, jadą, biegną – nie wiadomo dokąd. Ale moja mama wie, dokąd. Mama wzięła za rękę moją siostrę i mnie i we trójkę idziemy do Pińska, do naszego mieszkania przy ulicy Wesolej. Wojna zastała nas koło Rejowca, na wakacjach u wujka, więc teraz musimy wrócić do domu. Tutti a casa!

Ale kiedy po dniach wędrówki jesteśmy blisko Pińska, kiedy z daleka widać już domy miasta, drzewa pięknego parku i wieże kościołów, na drodze przy samym moście wyrastają nagle marynarze. Ci marynarze mają długie karabiny i ostre, kolczaste bagnety, a na okrągłych czapkach – czerwone gwiazdy. Kilka dni temu przyплыnęli tu aż z Morza Czarnego, zatopili nasze kanonierki, zabili naszych marynarzy, a teraz nie chcą wpuścić nas do miasta. Trzymają nas na odległość, nie ruszać się! krzyczą i mierzą z karabinów. Mama, a także inne kobiety

i dzieci – bo zebrali nas już całą gromadę – płaczą i proszą o litość. Wołajcie o litość, błagają nas nieprzytomne ze strachu mamy, ale co my, dzieci, możemy jeszcze zrobić, i tak już od dawna klęczymy na drodze, szlochamy i wyciągamy w górę ramiona.

Krzyk, płacz, karabiny i bagnety, wściekłe twarze spoconych i złych marynarzy, jakaś furia, jakaś groza i nieopojętość, to wszystko jest tam przy moście nad Piną, w tym świecie, w który wkraczam, mając siedem lat.

W szkole od pierwszej lekcji uczyliśmy się alfabetu rosyjskiego. Zaczynamy od litery „s”. Jak to od „s”? pyta ktoś z głębi klasy. Przecież powinno być od „a”! Dzieci, mówi zgnębionym głosem pan nauczyciel (który jest Polakiem), spójrzcie na okładkę naszej książki. Jaka jest pierwsza litera na tej okładce? „S”! Petruś, który jest Białorusinem, może przeczytać cały napis: Stalin *Woprosy leninizma*. Jest to jedyna książka, z której uczyliśmy się rosyjskiego, jedyny egzemplarz tej książki. Na sztywnej okładce, pokrytej szarym lnianym płótnem, duże, złożone litery.

ODCHODZĄC OD NAS, TOWARZYSZ LENIN NAKAZAŁ NAM duka w pierwszej ławce pokorny i cichy Władzio. Lepiej nie pytać, kto to był Lenin. Wszystkie mamy zdążyły już nam powiedzieć, żeby o nic nie pytać. Zresztą te ostrzeżenia nie były nawet potrzebne. Nie umiem tego określić, nie umiem powiedzieć, skąd się to brało, ale w powietrzu było coś tak trwożnego, tak napiętego i ciężkiego, że miasto, w którym dawniej hasaliśmy w najdzikszy i najweselszy sposób, stało się nagle podstępny i niebezpiecznym polem minowym. Baliśmy się nawet głębiej odetchnąć, żeby nie spowodować wybuchu.

Wszystkie dzieci będą należały do Pioniera! Któregoś dnia zajeżdża na podwórko szkolne samochód, z którego wysiadają panowie w błękitnych mundurach. Ktoś mówi, że to NKWD. Co to jest NKWD, nie bardzo wiadomo,

ale jedno jest pewne, że jeśli starsi wymawiają tę nazwę, zniżają głos do szeptu. NKWD musi być najważniejsze, ponieważ ich mundury są eleganckie, nowe, jakby prosto spod igły. Wojsko chodzi obdarte, zamiast plecaków mają płócienne woreczki, najczęściej puste, związane byle jakim kordonkiem, i buty chyba nigdy w życiu nieczyszczone, natomiast jeżeli idzie ktoś z NKWD, na kilometr bije od niego błękitna luna.

Otóż ci z NKWD przywieźli dla nas białe koszule i czerwone chusty. Jeżeli będą ważne święta, mówi wystraszonym i smutnym głosem pan nauczyciel, każde dziecko przyjdzie w tej koszuli i chuście. Przynieśli też i rozdali nam pudło znaczków. Na każdym znaczku był portret innego pana. Jedni mieli wąsy, a inni – nie. Jeden pan miał bródkę, a dwóch nie miało włosów. Dwóch albo trzech nosiło okulary. Jeden z NKWD chodził od ławki do ławki i rozdawał znaczki. Dzieci, powiedział pan nauczyciel głosem, który przypominał dźwięk pustego drewna, to są wasi przywódcy. Przywódców było dziewięciu. Nazywali się: Andrejew, Woroszyłow, Żdanow, Kaganowicz, Kalinin, Mikojan, Mołotow, Chruszczow. Dziewiątym przywódcą był Stalin. Znaczek z jego portretem był dwa razy większy od pozostałych. Ale to było zrozumiałe. Pan, który napisał tak grubą książkę jak *Woprosy leninizma* (z której uczyliśmy się czytać), powinien mieć znaczek większy niż inni.

Znaczki przypinało się na agrafce, po lewej stronie, tam gdzie starsi noszą medale. Ale wkrótce powstał problem – zabrakło znaczków. Ideałem, a nawet niemal obowiązkiem, było nosić wszystkich przywódców, z dużym znacznikiem Stalina jako otwierającym kolekcję. Tak również polecali ci z NKWD: trzeba nosić wszystkich! Tymczasem okazało się, że ktoś ma Żdanowa, a nie ma Mikojana, albo – ktoś ma dwóch Kaganowiczów, a nie ma Mołotowa. Janek przyniósł jednego dnia aż czterech Chruszczowów, których wymienił za jednego Stalina (Stalina ktoś mu

wcześniej ukradł). Prawdziwym krezusem był wśród nas Petruś – miał aż trzech Stalinów. Wyjmował z kieszeni, pokazywał, chwalił się.

Kiedyś sąsiad z bocznej ławki – Chaim, odciągnął mnie na stronę. Chciał wymienić dwóch Andrejewów na Mikojana, ale powiedziałem mu, że Andrejewy mają niską cenę (co było prawdą, bo nikt nie mógł dojść, kim jest ten Andrejew), i nie zgodziłem się. Nazajutrz Chaim znowu wziął mnie na bok. Wyciągnął z kieszeni Woroszyłowa. Zadrzałem. Woroszyłow był moim marzeniem! Nosił mundur, więc pachniał wojną, a wojnę już poznałem, stąd był mi jakoś bliski. Dałem mu w zamian Żdanowa, Kaganowicza i jeszcze Mikojana na dokładkę. W ogóle Woroszyłow szedł dobrze. Podobnie Mołotow. Za Mołotowa można było dostać trzech innych, ponieważ starsi mówili, że Mołotow jest ważny. W cenie był również Kalinin, bo przypominał poleskiego dziadka. Miał jasną bródkę i – jako jedyny – coś w rodzaju uśmiechu.

Czasami lekcje przerywa wystrzał armatni. Wystrzał rozlega się tuż obok, gwałtowny, donośny, drżą szyby, dygocą ściany, a pan nauczyciel patrzy z przerażeniem i rozpaczą w okno. Jeżeli po wystrzale następuje cisza, wracamy do czytania naszej grubej książki, ale jeżeli słychać łomot blachy, huk pękających murów i łoskot spadających kamieni, klasa ożywia się, słychać podniesione głosy – trafili! trafili! i ledwie rozlegnie się dzwonek, a już pędzimy na plac zobaczyć, co się stało. Nasza mała, piętrowa szkoła znajduje się tuż przy rozległym placu, który nazywa się Trzeciego Maja. Przy tym właśnie placu stoi wielki, ale to naprawdę wielki kościół, największy w całym mieście. Trzeba wysoko zadzierać głowę, żeby zobaczyć, gdzie kończy się kościół, a zaczyna niebo. A właśnie dokładnie w to miejsce strzela teraz armata. Strzela do wieży, żeby ją strącić.

W klasie rozumowaliśmy wtedy tak: kiedy bolszewicy szli do nas, to nim zobaczyli Polskę i nim zobaczyli nasze miasto, musieli najpierw dostrzec wieże pińskiego kościoła. One są takie wysokie. To ich widocznie bardzo zdenerwowało. Dlaczego? Na to pytanie nie umieliśmy sobie odpowiedzieć. Natomiast o samym fakcie zdenerwowania wnioskowaliśmy stąd, że kiedy tylko Rosjanie weszli do miasta, nim jeszcze odsapnęli, nim się rozejrzeli, gdzie jaka ulica, nim pojedli i nim zaciągnęli się machorką, już prędko ustawili na placu armatę, przywieźli amunicji i zaczęli strzelać w kościół.

Ponieważ cała artyleria pojechała na front, została im tylko jedna armata. Strzelali z niej bez ładu i składu. Jeżeli trafili, z wieży unosiły się kłęby ciemnego pyłu, czasem błysnął język płomienia. Wokół placu w głębokich bramach kryli się ludzie, którzy patrzyli na to bombardowanie ponuro, ale i z ciekawością. Kobiety klęczały i odmawiały różaniec. Po pustym placu chodził pijany artylerzysta i krzyczał: Widzicie, strzelamy do waszego Boga! A on nic, cicho siedzi! Boi się czy jak? Śmiał się, a potem dostawał ataku czkawki. Nasza sąsiadka powiedziała mamie, że kiedy któregoś dnia opadł kurz, zobaczyła na szczycie zburzonej wieży świętego Andrzeja Bobole. Święty Andrzej, powiedziała, miał bardzo cierpiącą twarz – palili go żywcem.

Idąc do szkoły, muszę przejść przez tory kolejowe, tuż koło stacji. Lubię to miejsce, lubię patrzeć na pociągi, które przyjeżdżają i odjeżdżają. Najbardziej lubię patrzeć na lokomotywę: chciałbym być maszynistą. Otóż, idąc któregoś ranka przez tory, widzę, że kolejarze zaczynają gromadzić wagony towarowe. Dziesiątki i dziesiątki wagonów. Gorączkowy ruch na przetokach: jeżdżą lokomotywy, skrzypią hamulce, dzwonią zderzaki. I pełno czerwonarmistów, pełno NKWD. W końcu ruch ustaje, na kilka dni

zapada cisza. Ale któregoś dnia widzę, jak do wagonów podjeżdżają furmanki pełne ludzi i tobołków. Przy każdej furmance kilku żołnierzy, każdy trzyma karabin tak, jakby miał za chwilę wystrzelić. Do kogo? Ci na furmankach ledwie żyją ze zmęczenia i strachu. Pytam mamę, dlaczego zabierają tych ludzi. Ona, bardzo zdenerwowana, mówi, że to zaczęła się wywózka. Wywózka? Dziwne słowo. Co ono znaczy? Ale mama nie chce odpowiedzieć na pytanie, nie chce ze mną rozmawiać, mama płacze.

Noc. Pukanie do okna (mieszkamy w małym domku wrośniętym w ziemię). Twarz ojca przyklepiona do szyby, płaska, roztopiona w mroku. Widzę, jak ojciec wchodzi do pokoju, ale poznaję go z trudem. Pożegnaliśmy się latem. Był w mundurze oficera, miał wysokie buty, nowy, żółty pas i skórzane rękawiczki. Szedłem z nim ulicą i słuchałem z dumą, jak wszystko na nim chrzęści. Teraz stoi przed nami w ubraniu poleskiego chłopca, chudy, zarosnięty. Ma na sobie lnianą koszulę do kolan przewiązaną parcianym paskiem, a na nogach łykowe łapcie. Z tego, co mówi mamie, rozumiem, że dostał się do niewoli sowieckiej i że pędzili ich na wschód. Mówi, że uciekł, kiedy szli kolumną przez las, i w jakiejś wiosce zamienił z chłopem mundur na koszulę i łapcie.

Dzieci, mówi mama do siostry i do mnie, zamknąć oczy i spać! W sąsiednim pokoju, w którym są rodzice, słychać szepty i gwałtowne poruszenia. Rano, kiedy wstaję, ojca już nie ma. Idąc do szkoły, rozglądam się na wszystkie strony – a nuż go zobaczę? Tyle chciałem mu opowiedzieć – o sobie, o szkole, o armacie. I że znam już rosyjskie bukwy. I że widziałem wywózkę. Ale ojca nie widać nawet w najdalszej perspektywie ulicy Łochiszyńskiej, która jest tak długa, że prowadzi chyba na koniec świata. Jest jesień. Wieje chłodny wiatr. Szczypią mnie oczy.



Następna noc. Łomotanie do okien, do drzwi tak natarczywe, natrętne, tak huraganowe, że za chwilę zawali się sufit. Wpada ich kilku, czerwonoarmistów i cywilów, wdzierają się tak nerwowo i błyskawicznie, jakby ścigały ich rozwścieczone wilki. Od razu karabiny w nas wymierzone. Strach wielki: a jeżeli strzelą? A jeżeli zabiją? Bardzo nieprzyjemne uczucie widzieć zabitego człowieka. Także widzieć zabitego konia. Aż przechodzi dreszcz.

Ci, którzy trzymają karabiny, stoją jak posągi, ani drgną, natomiast pozostali wywalają wszystko na podłogę. Z szaf, z komód, z łóżek. Sukienki, czapki, nasze zabawki. Sienniki, buty, ubrania ojca. I do mamy – muż kuda? A mama, błada jak papier, rozkłada drżące ręce i mówi, że nie wie. Ale oni wiedzą, że ojciec tu był, więc znowu – muż kuda? A mama nic, że nie wie, no nie wie i już. Ach, ty, mówi jeden i robi taki ruch, jakby chciał mamę uderzyć, a mama chowa głowę w ramiona, żeby nie trafił. A inni szukają i szukają. Pod łózkami, pod kredensem, pod fotelem. Czego szukają? Mówią, że broń. Ale jaka u nas może być broń? Mój zepsuty kapiszonowiec, z którym chodziłem walczyć z Indianami. Owszem, kiedy kapiszonowiec był dobry, zawsze mogliśmy wyprzeć Indian z naszego podwórka, ale teraz mój rewolwer ma złamaną sprężynę, nie nadaje się do niczego.

Chcą zabrać mamę. Zabrać za karę czy jak? Grożą jej pięściami i okropnie klną. Idi! krzyczy żołnierz do mamy i chce wypchnąć ją kolbą na dwór w ciemną noc. Ale wtedy moja młodsza siostra rzuca się nagle na żołnierza i zaczyna go bić, gryźć i kopać, rzuca się w jakimś szale, w furii, w obłądnie. Jest w tym taka nieoczekiwana, zaskakująca determinacja, taka drapieżna nieustępliwość, zawziętość i ostateczność, że jeden z czerwonoarmistów, pewnie najstarszy, pewnie komandir, waha się przez chwilę, w końcu nakłada czapkę, zapina kaburę pistoletu i mówi do swoich ludzi – paszli!

W szkole, w czasie przerw albo kiedy wracamy gromadą do domu, mówi się o wywózkach. Nie ma teraz ciekawszego tematu. Nasze miasteczko jest pełne zieleni, wokół domków rozciągają się ogródki, wszędzie aż gęsto od wysokich traw, chwastów, krzewów i drzew, łatwo więc schować się, widzieć wszystko, a samemu być niewidocznym. W starszych klasach są tacy, którym udało się wyrwać z domu, ukryć w zaroślach i obejrzeć całą wywózkę od początku do końca. Mamy już prawdziwych ekspertów od wywozek. Rozprawiają oni na ich temat ochoczo i ze znanstwem.

Więc wywózki odbywają się nocą. Chodzi tu o zaskoczenie. Człowiek śpi, a oto nagle budzą go krzyki, widzi nad sobą wściekłe twarze żołnierzy i NKWD, siłą wyciągają go z łóżka, popychają kolbami i każą wychodzić z domu. Każą oddać broń, której i tak przecież nikt nie ma. Bez przerwy miotają straszhliwymi plugastwami. Najgorzej, jeżeli nazwą kogoś burżujem. Burżuj to okropne wyzwisko. Cały dom przewracają do góry nogami, w tym znajdują największe upodobanie. W czasie, kiedy robią rewizję i cały ten nieopisany bałagan, przyjeżdża podwoda. Jest to chłopski wóz zaprzężony w lichego konika, bo Poleszucy są biedni i konie mają marne. Więc kiedy komandir widzi, że jest już podwoda, krzyczy do tych, których będą wywozić: macie piętnaście minut, żeby się spakować i siadać na furmankę. Jeżeli komandir ma dobre serce, daje pół godziny. Wtedy trzeba po prostu rzucać się na wszystko i pchać do walizek, co się da. Nie ma mowy, żeby coś tu wybierać albo nad czymś się zastanawiać. Szybko, natychmiast, już, bystro, bystro! Potem pędem do furmanki, dosłownie – pędem. Na wozie siedzi chłop, ale chłop nie pomoże, nie wolno mu, nie wolno mu się nawet obejrzeć, żeby zobaczyć, kto wsiada na furmankę. Dom zostaje pusty, bo zabierają całą rodzinę, dziadków, dzieci, wszystkich. Gaszą światło.

Teraz furmanka jedzie w ciemnościach, wymarłymi

ulicami, w stronę dworca kolejowego. Wóz trzęsie się i kołbie, ponieważ większość naszych ulic nie ma asfaltu, nie ma nawet bruku. Koła wpadają w głębokie dziury albo toną w błocie. Ale wszyscy są tu do takich niewygód przyzwyczajeni – i woźnica Poleszuk, i jego koń, i nawet ci nieszczęśnicy, którzy kołyszą się teraz na swoich tobołkach, zgnębieni i przerażeni.

Chłopcy, którym udało się podglądać wywózki, mówią, że szli za tymi furmankami aż do torów kolejowych. Tam stoją towarowe wagony, długi transport. Każdej nocy było furmanek kilkanaście albo kilkadziesiąt i więcej. Wozy zatrzymywały się na placu przed dworcem. Dalej, do wagonów, trzeba było iść pieszo. Do takiego wagonu trudno wsiąść, bo jest wysoki. Ci z eskorty musieli poganiać, wymachiwać karabinami, krzyczeć, kłąć. Kiedy napełnili jeden wagon, szli do następnego. Co to znaczyło – napełnić wagon? To znaczyło upchać w nim kolanami i kolbami tych ludzi tak, żeby nie było gdzie wetknąć szpilki.

Nigdy nie było wiadomo, której nocy po kogo przyjdą. Chłopcy, którzy wiedzieli dużo o wywózkach, próbowali ustalić tu jakieś reguły, jakieś hierarchie, znaleźć klucz. Niestety, daremnie. Bo na przykład zaczęli wywozić z Bednarskiej, ale nagle – przestali. Wzięli się za mieszkańców Kijowskiej, ale tylko po stronie parzystej. Raptem zniknął ktoś z Nadbrzeżnej, ale tej samej nocy zabrali ludzi z drugiego końca miasta – z Browarnej. Od czasu rewizji w naszym mieszkaniu mama nie pozwala nam zdejmować na noc ubrań. Można rozzuć buty, ale trzeba mieć je cały czas przy sobie. Palta leżą na krzesłach, tak żeby włożyć je w okamgnieniu. W zasadzie nie wolno spać. Leżymy z siostrą koło siebie i jedno drugie poszturchuje, jedno drugim potrząsa albo pociąga za włosy. Ty, nie śpij! Ty też nie śpij! Ale, oczywiście, wśród tej szamotaniny i przepychań w końcu zasypiamy oboje.

Natomiast mama nie śpi naprawdę. Siedzi za stołem i cały czas nadśłuchuje. Cisza na naszej ulicy jest taka, że dźwięczy w uszach. Jeżeli w tej ciszy rozlegną się czyjeś kroki, mama blednie. Człowiek o tej porze to wróg. W klasie czytaliśmy u Stalina o wrogach. Wróg to straszna postać. Kto inny przyjdzie o tej porze? Dobrzy ludzie boją się, siedzą schowani w domach.

Nawet jeżeli śpimy, to tak jak mysz na pudle. Śpimy, a wszystko się słyszy. Czasem nad ranem słyhać turkot furmanki. Odgłos ten narasta w ciemnościach, a kiedy już furmanka zrówna się z naszym domem, łoskot jest taki, jakby przejeżdżała jakaś piekielna machina. Mama podchodzi na palcach do okna i ostrożnie odsuwa zasłonę. Być może inne mamy z ulicy Wesolej robią w tej chwili to samo. Widzą one wolno toczący się wóz, a na nim skulone postacie, za wozem idą czerwonoarmiści, a za nimi – z powrotem ciemność. Sąsiadka, która widziała, jak świętego Andrzeja Bobolę pałą żywcem, powiedziała mamie, że te furmanki jakby przejeżdżały po niej. Następnego dnia wszystko ją boli.

Pierwszy w klasie zniknął Paweł. Ponieważ zbliżała się zima, nauczyciel powiedział, że na pewno Paweł przeziębził się i został w łóżku. Ale Paweł nie przyszedł następnego dnia ani w następnym tygodniu i wtedy zaczęliśmy domyślać się, że nie przyjdzie nigdy. W kilka dni później zobaczyliśmy, że pierwsza ławka, w której siedzieli Janek i Zbyszek, stoi pusta. Zrobiło się smutno, ponieważ obaj wymyślali najlepsze kawały i dlatego pan nauczyciel, żeby mieć ich na oku, kazał im siedzieć w pierwszej ławce. W innych klasach też dzieci coraz częściej znikwały. Już nawet nikt nie pytał, dlaczego nie przyszły i gdzie są. Szkoła pustoszała. Jeszcze po lekcjach graliśmy w piłkę, w podchody i w klipę, ale coś się takiego stało, że piłka zrobiła się bardzo ciężka, w czasie podchodów nikomu

nie chciało się szybko biegać, a w klipie każdy machał kijem byle jak. Za to łatwo wybuchały dziwaczne spory i zażarte bójki, po których wszyscy rozchodzili się źli, nadęci i osowiali.

Pewnego dnia zniknął pan nauczyciel. Po prostu jak zwykle przyszedliśmy do szkoły na ósmą i po dzwonku usiedliśmy w ławkach, kiedy w drzwiach stanął pan kierownik Lubowicki. Dzieci, powiedział, idźcie, teraz do domu i przyjdźcie jutro, będzie uczyć was nowa pani. Po raz pierwszy od czasu wyjazdu ojca czuję kurcz w okolicy serca. Dlaczego zabrali naszego pana? Nasz pan był ciągle zdenerwowany i często wyglądał przez okno. Mówił – ach, dzieci, dzieci – i kiwał głową. Zawsze był poważny i bardzo smutny. Był dla nas dobry i jeżeli jakiś uczeń jękał się, czytając Stalina, pan nie krzychał, a nawet trochę się uśmiechał.

Wracałem do domu przybity. Kiedy przechodziłem przez tory, usłyszałem znajomy głos. Ktoś mnie wołał. Na bocznicę stały wagony, a w nich ludzie, których mieli wywieźć. Głos dobiegał mnie stamtąd. Spojrzałem i w drzwiach jednego z wagonów zobaczyłem twarz naszego nauczyciela. Machał do mnie ręką. Boże! Rzuciłem się pędem w tamtą stronę. Ale w sekundę dopadł mnie żołnierz i uderzył w głowę tak mocno, że przewróciłem się. Wstawałem oszołomiony, z ostrym bólem, a on zamachnął się jeszcze raz, ale już nie uderzył, tylko krzychał, żebym wynosił się stąd w czorty. I nazwał mnie sobaczym nasieniem.

Wkrótce zaczął się głód. Jeszcze dotąd nie było mrozów, tuż po wyjściu ze szkoły zaczynaliśmy buszować po ogrodach. Zналиśmy dobrze ich zawiłą geografie, ponieważ tam, wśród grządek i krzewów, bawiliśmy się dawniej do upadłego w nasze wojny, w podchody i w Indian. Każdy wiedział, u kogo rosną duże jabłka, u kogo warto otrząsnąć gruszę, gdzie dojrzało tyle śliwek, że aż jest

fioletowo, albo gdzie obrodziło pękata brukwią. Wyprawy te były ryzykowne, ponieważ właściciele ogródków pędzili nas na cztery wiatry. Głód zaglądał już wszystkim do oczu i kto mógł, starał się robić zapasy. Nikt nie chciał stracić ani jednej moreli, brzoskwini czy agrestu. Znacznie bezpieczniej było pustoszyć sady tych, których areztowali i zamknęli w wagonach, bowiem nikt nie pilnował ich drzew ani grządek.

Targ rzeczny na Pinie, gdzie chłopci zwozili na łodziach swoje skarby – a to ryby, a to miód, a to kaszę – dawno już opustoszał. Większość sklepów była zamknięta albo zrabowana. Jedyne ratunkiem była wieś. Nasze sąsiadki brały pierścionek czy futro i jechały do pobliskich wsi kupić mąkę, słoninę lub drób. Zdarzyło się jednak, że w czasie, kiedy kobiety te były poza miastem, NKWD przyszło do ich domów i zabrało dzieci do transportu. Sąsiadki mówiły o tym rozdygotane i ostrzegały mamę. Ale i bez tego mama była zdecydowana nie ruszyć się od nas na krok.

Nasze miasteczko, zielone i duszne latem, jesienią brązowe i błyszczące w słońcu jak bursztyn, nagle, jednej nocy, zrobiło się białe. Było to na przełomie listopada i grudnia. Zima roku 39/40 była wczesna i ostra. Była mroźnym, lodowatym piekłem. Od strony ulicy Spokojnej, od strony cmentarza, na którym leży moja babcia, doczołgaliśmy się do krzaków, skąd mogliśmy widzieć transport stojący na boczniczy. W wagonach byli ludzie, którzy mieli lada dzień odjechać. Dokąd? Starsi mówili, że na Sybir. Nie wiedziałem, gdzie to jest, ale ze sposobu, w jaki wymawiali to słowo, wynikało, że strach nawet myśleć o tym Sybirze.

Nie zobaczyłem mojego nauczyciela, na pewno dawno odjechał, bo transporty odchodziły jeden za drugim. Siedzieliśmy schowani w krzakach, a ze strachu i palącej ciekawości serce podskakiwało do gardła. Ze strony

bocznicy dobiegały nas jęki i płacz. Za chwilę zrobiły się one bardzo głośne, rozdzierające. Od wagonu do wagonu jechały furmanki. Ludzie z wagonów składali na te furmanki tych, którzy tej nocy umarli z zimna i głodu. Za furmankami szło czterech z NKWD i coś liczyli, coś pisali. Znowu liczyli i pisali. Liczyli i pisali. Potem zamykali drzwi do wagonów. Te drzwi muszą być ciężkie, bo robili to z wielkim trudem. Poruszają się one na bloczkach, bloczki przeraźliwie skrzypiały. Zamek zakręcili drutem, drut ściskali obcęgi. Każdy z tych czterech kolejno sprawdzał, czy nie da się drutu odkręcić. Kuliliśmy się w krzakach skamieniali z zimna i przejęcia. Lokomotywa zagwizdała kilka razy i pociąg ruszył. Kiedy był już daleko, ci czterej zrobili w tył zwrot i poszli na dworzec.

Nic nie powiedzieliśmy mamie, żeby jej nie złościć. Mama całymi dniami stała w oknie. Stała nieruchoma, mogła nie ruszać się godzinami. W domu było jeszcze trochę kaszy i mąki. Czasem jedliśmy kaszę, czasem mama piekła na kuchni placki z mąki. Zauważyłem, że sama nic nie je, a kiedy myśmy jedli, odwracała się, żeby nie patrzeć, albo wychodziła do drugiego pokoju. Mówiła – przynieście trochę chrustu. Chodziliśmy po okolicy, wygrzebując spod śniegu suche badyle i patyki. Być może nie miała już siły wychodzić sama, a trzeba było choć trochę palić, bo zamarzaliśmy na sople. Wieczorami siedzieliśmy w ciemnościach, trzęsąc się z zimna i ze strachu, czekając na wywózkę.

Czasem włóczyłem się z kolegami po oblodzonym i roziskrzonym w słońcu mieście. Węszyliśmy za jedzeniem, właściwie nie licząc, że coś znajdziemy. Można było zjeść trochę śniegu albo possać kawałek lodu, ale to tylko wzmagało głód. Najbardziej męczącym, ale zarazem najbardziej przyjemnym i rzadkim był zapach go-

towanego jedzenia. Chłopcy! wołał któryś z nas i machał na pozostałych ręką. Pędziliśmy do niego, a on już stał z nosem wetkniętym między sztachety, wpatrzony w czyjś dom. Razem zaczynaliśmy wdychać płynący w naszą stronę zapach pieczonej kury albo gotującego się bigosu. Od takiego płotu jeden drugiego musiał później odrywać siłą.

Kiedyś, głodni i zdesperowani, powlekliśmy się do żołnierzy pilnujących koszar. Towaryszcz, powiedział Hubert, daj pokuszać' i zrobił ręką gest wkładania do ust kawałka chleba. Ale oni tylko wzruszyli ramionami. W końcu jeden z wartowników sięgnął do kieszeni i zamiast chleba wyciągnął płócienny woreczek i podał nam bez słowa. W środku były ciemnobrunatne, niemal czarne, drobno pokrajane łądygi liści tytoniowych. Czerwonoarmista dał nam również kawałek gazety, pokazał, jak skręcić z niej stożek i wsypać wilgotnej, cuchnącej, tytoniowej kaszy. Papierosy zrobione z dobrego tytoniu i bibułki, słowem – normalne papierosy, były wtedy nieosiągalne.

Zaczęliśmy palić. Dym drapał w gardle i szczypał w oczy. Świat zaczął wirować, kołysać się i stawać na głowie. Wymiotowałem, a czaszka pękała od bólu. Ale ssące, tępe uczucie głodu zelżało, osłabło. Mimo wstrętnego smaku w ustach, mimo męczących nudności, było to znośniejsze niż tarמושąca wnętrzości, dojmująca, natarczywa potrzeba wypełnienia żołądka.

Moja klasa stopniała do połowy. Pani posadziła mnie w ławce z chłopcem, który miał na imię Orion. Od razu polubiliśmy się i zaczęliśmy razem wracać do domu. Kiedyś powiedział mi, że na ulicy Zawalnej mają sprzedawać cukierki i jeżeli chcę, możemy razem stanąć w ko-



lejce. Był to piękny gest, że mi powiedział o tych cukierkach, bo dawno już o słodyczach przestaliśmy marzyć. Mama zgodziła się i poszliśmy z Orionem na Zawalną. Było ciemno i padał śnieg. Przed sklepem stała już długa kolejka dzieci, ciągnąca się wzdłuż kilku domów. Sklep był zamknięty drewnianymi okiennicami. Dzieci stojące na początku kolejki powiedziały, że sklep będzie otwarty dopiero jutro i że trzeba stać całą noc. Strapieni wróciliśmy na swoje miejsce, na koniec kolejki. Ale nowe dzieci ciągle przybywały, kolejka rosła w nieskończoność.

Brał mróz jeszcze większy niż w ciągu dnia, ostry, przenikliwy, siarczasty. W miarę jak płynęły minuty, a potem godziny, stać było coraz trudniej. Na nogach i rękach miałem już od jakiegoś czasu piekące, nabrziałe materiały wrzody, które bardzo bolały. Teraz lodowate zimno powiększało ten ból, który robił się nie do zniesienia. Poje kiwałem przy każdym poruszeniu.

Tymczasem coraz to jakiś fragment kolejki pękał, rozsypywał się po zaśnieżonej, zamrożonej ulicy. Żeby rozgrzać się, dzieci bawiły się w berka. Baraszkowały, mowowały się, tarzały w białym puchu. Potem wracały do kolejki i następna grupa puszczała się z wrzaskiem w gonitwę. W połowie nocy ktoś rozpalił ognisko. Buchnął pyszny, bujny płomień. Po kolei dopadaliśmy tego ognia, żeby choć na chwilę ogrzać ręce. W twarzach dzieci, którym udało się dopchać do ogniska, odbijał się złoty blask. W blasku tym ich twarze tajały, napęlniały się ciepłem. Potem ogrzani wracali na miejsca i oddawali nam, stojącym w kolejce, promienie swojego żaru.

Nad ranem kolejkę ogarnął sen. Nic nie pomogły ostrzeżenia, że na mrozie nie wolno spać, bo to oznacza śmierć. Już nikt nie miał siły ani szukać gałęzi na opał, ani bawić się w berka czy w kółko graniaste. Mróz przesywał do kości, okrutny, nasrożony, trzaskający. Z zimna odpadały ręce i nogi. Żeby ratować się, żeby przetrwać noc, stali-

śmy w kolejce, kurczowo przytulając się do siebie, jedno za drugim. Był to silnie i rozpaczliwie szepiony łańcuch, z którego uchodziła resztką ciepła. Śnieg przysypywał nas coraz bardziej, okrywał białym, miękkim kożuchem.

Jeszcze ciemnym rankiem przyszły dwie zawinięte w grube chusty kobiety i zaczęły otwierać sklep. W kolejkę wstąpiło życie. Śniliśmy góry cukierków, wspaniałe czekoladowe pałace. Śniliśmy królowny z marcepana i paziów z piernika. Nasza wyobraźnia płonęła, wszystko się w niej iskrzyło, promieniało. W końcu drzwi sklepu otwarły się i kolejka ruszyła. Wszyscy napierali, żeby rozgrzać się i coś kupić. Ale w sklepie nie było ani cukierków, ani czekoladowych pałaców. Kobiety sprzedawały puste puszki po landrynkach. Po jednej dla każdego. Były to okrągłe, duże puszki, które miały na ścianach namalowane kolorowe, buńczuczne koguty i polski napis – E. Wedel.

Z początku byliśmy bardzo rozczarowani i zgębnieni. Orion płakał. Ale kiedy zaczęliśmy bliżej badać naszą zdobycz, powoli wstępowała w nas radość. Bo na ścianach tych puszek pozostał po landrynach słodki osad, różnobarwne, drobne kruszyny, gęsta, owocami pachnąca szadz. Przecież mamy mogły zagotować w tych puszkach wodę i mieć dla nas słodki, aromatyczny napój! Już udobruchani, już nawet zadowoleni, zamiast iść prosto do domu skręciliśmy do parku, gdzie latem stał cyrk. Cyrk dawno odjechał, ale odjeżdżał w pośpiechu i zostawił karuzelę. Z karuzeli ukradli i motor, i prawie wszystkie krzeselka. Ale jedno krzeselko zostało i jeżeli zebrać kilku chłopców, mogą oni drągiem rozpędzić karuzelę tak, że kręci się jak szalona.

W parku jest pusto i cicho, więc biegniemy do karuzeli i zaczynamy ją rozkręcać. Już ruszyła, już skrzypi. Wskoczyłem na krzeselko i zapiąłem się łańcuchem.

Orion wydaje rozkazy, pokrzykuje, zagrzewa, ponagla chłopców, którzy jak galernicy napierają na drąg ile sił, żeby szybciej, szybciej i szybciej! Orion cały w gorącej woła ile mocy w gardle, w chłopców też już wstąpiło szaleństwo, karuzela pędzi, czuję szczypiący, mroźny wiatr, który chłoszcze mnie po twarzy, porywisty i coraz silniejszy wiatr, na którego skrzydłach unoszę się jak pilot, jak ptak, jak obłok.

## Transsyberyjska, 58

Miejsce mojego drugiego spotkania z Imperium: daleko, w stepach i śniegach Azji, w trudno dostępnej krainie, której cała geografia nosi obce i przedziwne imiona, rzeki nazywają się Argun, Unda, Czajchar, góry – Czingan, Ilczuri, Dżagdy, a miasta – Kilkok, Tungir i Bukaczacza. Z samych tych nazw można by układać dźwięczne, egzotyczne poematy.

Pociąg kolei transsyberyjskiej, który wyruszył poprzedniego dnia z Pekinu i odbywa dziewięciodniową podróż do Moskwy, wjeżdża od strony Charbinu na stację graniczną ZSRR – Zabajkalsk. Zbliżenie się do każdej granicy zwiększa w nas napięcie, podnosi emocje. Ludzie nie są stworzeni do życia w sytuacjach granicznych, unikają ich lub starają się od nich jak najszybciej uwolnić. A jednak człowiek wszędzie je napotyka, wszędzie widzi i czuje. Weźmy atlas świata: same granice. Oceanów i kontynentów. Pustyni i lasów. Opadów, monsunów, tajfunów, użytków i nieużytków, marzłoci i kisłoci, łupka i zlepieńca. Dodajmy granice występowania osadów czwartorzędowych i wylewów wulkanicznych, bazaltu, kredy i trachitu. Możemy też zobaczyć granice tarczy patagońskiej i tarczy kanadyjskiej, strefy klimatów zwrotnikowych i arktycznych, granice form erozyjnych dorzecza Adygi i jeziora Czad. Granice występowania różnych ssaków. Różnych owadów. Różnych gadów i płazów, w tym bardzo groźnej czarnej kobry oraz strasznej, choć na szczęście – leniwej, anakondy.

A granice monarchii i republik? Zamierzczyłych królestw i zagubionych cywilizacji? Paktów, układów i alian-sów? Plemion czarnych i żółtych? Wędrówek ludów? Gra-nice, dokąd dotarli Mongołowie. Dokąd – Chazarowie. Dokąd – Hunowie.

Ileż ofiar, krwi i bólu związanych jest ze sprawą gra-nic! Cmentarze tych, którzy na świecie polegli w obro-nie granic, nie mają końca. Równie bezkresne są cmen-tarze śmiałków, którzy próbowali swoje granice posze-rzyć. Można przyjąć, że połowa tych, którzy kiedykol-wiek przewinęli się przez naszą planetę i oddali życie na polu chwały, wyzionęła ducha w bitwach wywołanych kwestią granic.

Ta wrażliwość na sprawę granic, ten niestrudzony za-pał, żeby je ciągle wytyczać, poszerzać lub bronić, jest cechą nie tylko człowieka, ale całej przyrody ożywionej, wszystkiego, co się porusza na lądzie, w wodzie i powie-trzu. Różne ssaki, w obronie granic swoich pastwisk, da-dzą się rozszarpać na kawałki. Różne drapieżniki, aby zdobyć nowe tereny łowne, zagryzą swoich przeciwni-ków na śmierć. Ale nawet nasz cichy i potulny kotek, jak się wysila, jak spręży i męczy, żeby wydusić z siebie po kilka kropel to tu, to tam i naznaczyć nimi granicę swo-jego terytorium.

A nasze mózgi? Przecież zakodowana jest w nich nie-skończona ilość wszelkiego rodzaju granic. Między pół-kulą lewą a prawą, między płatem czołowym a skronio-wym, między podwzgórzem a przysadką. A granice mię-dzy komorami, oponami i zwojami? Między rdzeniem przedłużonym a kręgowym? Zwróćmy uwagę na sposób, w jaki myślimy. Np. myślimy: do tej granicy wolno, a da-lej – nie. Albo mówimy: uważaj, żebyś nie posunął się za daleko, bo przekroczysz granicę! W dodatku wszystkie te granice myślenia, odczuwania, nakazów i zakazów ciągle przesuwają się, krzyżują, przenikają i piętrzą. W naszych mózgach trwa nieustanny ruch graniczny, przygraniczny,

nadgraniczny. Stąd bóle skróni i migreny, stąd tyle zamętu w głowach, ale też zdarzają się i perły: wizje, olśnienia, błyski myśli i – choć, niestety, rzadziej – geniuszu.

Granica to stres, nawet – lęk (znacznie rzadziej: wyzwolenie). Pojęcie granicy może zawierać w sobie jakąś ostateczność, drzwi mogą zatrzaskać się za nami na zawsze: taka jest granica między życiem i śmiercią. O tych niepokojach wiedzą bogowie i dlatego starają się pozyskać wyznawców, obiecując, że w nagrodę wejdą do królestwa bożego, które będzie właśnie bez granic. Raj Boga chrześcijan, raj Jahwe i Allacha nie mają granic. Buddyści wiedzą, że stan nirwany to stan błogiej szczęśliwości bez granic. Słowem, tym, co najbardziej pożądane, oczekiwane i przez wszystkich upragnione, jest właśnie owa bezwarunkowa, zupełna, absolutna – bezgraniczność.

## Zabajkalsk – Czita

Zasieki. Zasieki to jest to, co się najpierw widzi. Wystają ze śniegu, jak gdyby unoszą się ponad śniegiem linie, kozły, płoty zasieków. Jakież przedziwne kombinacje, zwężlenia, skłębienia, całe konstrukcje tych zasieków spinających niebo i ziemię, wczepionych w każdy skrawek zamarznętego pola, w biały pejzaż, w lodowaty horyzont. Z pozoru ta kolczasta, drapieżna zaporą rozciągnięta wzdłuż granicy wygląda na pomysł niedorzeczny i surrealistyczny, bo gdzie tu kto będzie się przedzierać, jak okiem sięgnąć śnieżna pustynia, żadnych dróg, żadnych ludzi, a śnieg dwumetrowy, nawet kroku nie można zrobić, a jednak te zasieki coś ci chcą powiedzieć, coś zakomunikować. One mówią ci: uważaj, przekraczasz granicę innego świata. Stąd już nie wymkniesz się, nie uciekniesz. Jest to świat śmiertelnej powagi, rozkazu i posłuszeństwa. Naucz się słuchać, naucz się pokory, naucz się zajmować

swoją osobą jak najmniej miejsca. Najlepiej rób, co do ciebie należy. Najlepiej milcz. Najlepiej nie zadawaj pytań.

No, słowem, zasięki dają ci lekcję przez cały czas, kiedy wagony toczą się w kierunku stacji, kładą ci w głowę wszystko, o czym powinienes odtąd pamiętać, natarczywie, ale to przecież dla twojego dobra, wbijają ci w pamięć długą litanię ograniczeń, zakazów i instrukcji.

Potem są psy. Psy wilczury, rozeźlone, rozdygotane, rozszalałe, kiedy pociąg ledwie stanie, rzucają się pod wagony, szczekają, ujadają, ale kto może pod takim wagonem, przy czterdziestostopniowym mrozie, jechać? Żeby nie wiem ile miał kozuchów, zamarznie po godzinie, a my już jedziemy bez przerwy cały dzień. Widok myśliczących psów jest tak przyciągający, że dopiero po chwili zwraca uwagę następny obraz, a mianowicie: jakby spod ziemi wyrosli żołnierze, którzy momentalnie ustawili się rzędem po obu stronach pociągu. Stoją tak, że między nimi istnieje łączność wzrokowa, że więc wzdłuż wagonów ciągnie się nieprzerwana linia widzenia i gdyby np. jakiś pasażer-wariat (ale może też agent, dywersant, szpieg) postanowił wyskoczyć z wagonu i rzucić się w nieobjętą śnieżnomroźną przestrzeń – zostanie natychmiast dostreżony i zastrzelony.

Kto by go jednak mógł tak od razu, od ręki, zastrzelić? Otóż bez sekundy zwłoki mogliby to zrobić wartownicy, którzy stoją na wyżkach i mają karabiny wycelowane w drzwi i okna wagonów (ponieważ właśnie wyglądam przez okno, jeden z karabinów jest wycelowany we mnie, tak – dokładnie we mnie!). Z drugiej jednak strony żaden wariat (czy agent, dywersant lub szpieg) nie mógłby wyskoczyć i rzucić się w śnieżnomroźną przestrzeń, gdyż wszystkie drzwi i okna wagonów są szczelnie, dokładnie zamknięte.

Słowem, nieprzerwana linia widzenia spełnia najwyraźniej tę samą perswazyjną rolę, co owe piętrowe, gęste kłęby zasięków: to po prostu milczące, ale dosadne ostrze-

zenie, aby przypadkiem nie przyszedł ci do głowy jakiś niedorzeczny pomysł!

Ale nie koniec na tym. Bo ledwie pod torami przeciągnęła zgraja znerwicowanych i być może głodnych wilczurów, ledwie wzdłuż torów rozstawili się czujnie żołnierze, a wartownicy na wyżkach wycelowali w nas lufy karabinów, do wagonów weszły patrole (w jednym ręku latarka, w drugim długi, stalowy szpikulec), wyrzucając wszystkich pasażerów na korytarz. Zaczyna się przeszukiwanie przedziałów, grzebanie na półkach, pod siedzeniami, w schowkach, w popielniczkach. Zaczyna się opukiwanie ścian, sufitu, podłogi. Badanie, oglądanie, dotykanie, wąchanie.

Teraz pasażerowie zabierają wszystko, co mają – walizki, torby, paczki, tobołki – i niosą to do budynku stacji, w którym stoją długie, obite blachą stoły. Wszędzie czerwone transparenty witające nas radośnie w Związku Radzieckim. Pod transparentami rzędem celniczki i celnicy bez wyjątku groźni, surowi i nawet z jakąś pretensją, tak, najwyraźniej – z pretensją. Szukam wśród nich twarzy o rysach choć trochę złagodzonych, odprężonych, otwartych, bo sam już chciałbym nieco się odprężyć, na chwilę zapomnieć, że otaczają mnie zasieki i wyżki, wściekle psy, skamieniali wartownicy, bo chciałbym nawiązać jakiś kontakt, wymienić grzeczności, porozmawiać, zawsze jest mi to ogromnie potrzebne.

– A ty czego śmiejesz się? – pyta ostro i podejrzliwie celnik.

Zmroziło mnie. Władza jest powagą: w zetknięciu z władzą uśmiech jest nietaktem, dowodzi braku szacunku. Podobnie nie należy długo wpatrywać się w kogoś, kto ma władzę. Ale o tym wiedziałem już z wojska. Nasz kapral Jan Pokrywka karał każdego, kto mu się długo przyglądał. – Chodźcie tu do mnie! – wołał. – Czego wy się tak we mnie wpatrujecie? – I za karę wysyłał do czyszczenia latryn.

Teraz zaczyna się. Zaczyna się otwieranie, odpinanie,



rozsypywanie, wybebeszanie. Gmeranie, zanurzanie, wyciąganie, potrząsanie. A co to? A co tamto? A do czego to? A do czego tamto? A to? A sio? A owo? A ten? A tamten? A którądy? A po co? Najgorzej z książkami. Co za przekleństwo wieźć jakąś książkę! Można wieźć walizkę kokainy, a na wierzchu trzymać książkę. Kokaina nie wzbudzi żadnego zainteresowania, wszyscy celnicy rzucają się na książkę. A już – nie daj Boże! – wieźć książkę po angielsku. Dopiero zacznie się bieganie, sprawdzanie, kartkowanie, czytanie.

A jednak, mimo że wiozę kilka książek po angielsku (są to głównie podręczniki nauki chińskiego i japońskiego), nie ja jestem tym najgorszym. Najgorszych postawiono przy osobnym stole, stole jak gdyby drugiej klasy. To miejscowi, obywatele Związku Radzieckiego, chudzi i drobni ludzie, w podartych chałatach i dziurawych walmkach, smagłolicy, skośnoocy Buriaci i Kameczadale, Tunguzi i Ainowie, Orocianie i Korijacy. Jak puścili ich do Chin – nie wiem. W każdym razie wracają, a wracając, wiozą ze sobą jedzenie. Widzę kątem oka, że mają pełno woreczków kaszy.

I tu właśnie o tę kaszę będzie teraz chodzić. Bo najwyraźniej kasza należy, obok książek, do produktów najbardziej podejrzanych. Coś w kaszy widocznie jest, jakaś dwuznaczność, jakaś przewrotna, podstępna właściwość, jakaś zwodniczość, jakaś złudność, bo owszem, niby to kasza, ale przecież może okazać się, że to niezupełnie kasza, że to kasza, ale nie aż na sto procent. Dlatego celnicy wysypują całą kaszę na stół. Stół zaczyna się złocić i brunatnieć, wygląda jak rozpostarta przed nami makieta Sahary. Zaczyna się przesiewanie kaszy. Uważne, drobiazgowo przesiewanie w palcach. Palce celników przepuszczają wąziutkie strumyki kaszy, przepuszczają, przepuszczają, ale nagle – stop! Palce zatrzymują się i nieruchomieją. Palce wyczuły dziwne ziarenko. Wyczuły, dały sygnał do mózgu celnika, mózg odpowiedział – stop! Palce

stanęły i czekają. Mózg mówi – spróbujcie jeszcze raz, ostrożnie i uważnie. Palce delikatnie i nieznacznie, delikatnie i nieznacznie, ale bardzo uważnie, bardzo czujnie obracają ziarenkiem. Badają. Doświadczone palce celnika radzieckiego. Wprawne, gotowe natychmiast przyduścić ziarenko, złapać je w potrzask, uwięzić. Ale ziarenko jest tylko tym, czym jest – to znaczy zwykłym ziarenkiem zwykłej kaszy i co je wyróżniło z miliona innych ziarenek rozsypanych na stole stacji granicznej w Zabajkalsku, to niecodzienny, dziwaczny kształt, wynik jakiejś chropowatości koła młyńskiego, które okazało się zwichrowane, nierówne. Więc żaden przemyt, żaden podstęp, dochodzi do wniosku mózg celnika, ale nie daje za wygraną. Przeciwnie, nakazuje dalej przesiewać, dalej badać, dalej wyczuwać i nawet przy cieniu wątpliwości zrobić momentalnie – stop!

Zważmy jednak, że są to lata pięćdziesiąte i że młyny w Chinach są już bardzo stare i niesprawne. Zważmy, jakie to stwarza problemy celnikom z Zabajkalska. Nieskończona ilość ziarenek ma nietypowy, podejrzany kształt. Palce co sekunda wysyłają do mózgu sygnał. Mózg co chwila alarmuje – stop! Ziarnko po ziarnku, garstka po garstce, woreczek po woreczku, Buriat po Buriacie.

Nie mogłem od tego widowiska oderwać wzroku. Patrzyłem zafascynowany, zapomniałem o zasiękach i wyżkach, zapomniałem o psach. Przecież to są palce, które powinny rzeźbić w złocie, szlifować diamenty! Ich mikroskopijne ruchy, ich czułe drżenia, ich wrażliwość, ich celnicza wirtuozeria!

Wracaliśmy do wagonów po ciemku, padał śnieg, mróz skrzyział pod butami. W Zabajkalsku odebrałem kolejną lekcję, jako że granica nie jest tu punktem na mapie, ale s z k o ł a. Uczniowie, którzy wyjdą z tej szkoły, będą dzielić się na trzy grupy. Grupa pierwsza – głucho wściekli. Najbardziej nieszczęśliwi, bo wszystko wokół będzie powodować w nich stres, będzie doprowadzać ich do stanu

furii, do obłądu. Denerwować, drażnić, męczyć. Jeszcze nim zdadzą sobie sprawę, że w otaczającej rzeczywistości niczego nie zmienia, nic nie poprawią, powali ich zawal serca albo wylew krwi.

Grupa druga – ci będą przyglądać się ludziom radzieckim i naśladować ich sposób myślenia i postępowania. Jego istotą jest pogodzenie z istniejącą rzeczywistością, a nawet umiejętność czerpania z niej pewnej satysfakcji. W tym wypadku bardzo pomocne jest powiedzenie, które należy powtarzać sobie i innym każdego wieczora, niezależnie od tego, jak okropny był dzień, który właśnie minął: ciesz się z tego dnia, bo tak dobrze, jak było dzisiaj, nigdy więcej nie będzie!

Wreszcie grupa trzecia to ci, dla których wszystko jest przede wszystkim ciekawe, niezwykle, nieprawdopodobne, którzy chcą ten inny, nieznanym im dotąd świat poznać, zbadać, zgłębić. Ci potrafią uzbroić się w cierpliwość i zachować dystans (ale nie wyniosłość!), spokojny, uważny, trzeźwy wzrok.

Takie są trzy postawy charakterystyczne dla cudzoziemców, którzy znaleźli się w Imperium.

## Czita – Ułan-Ude

Patrząc przez okno pędzącego pociągu, myślę: Syberia, więc tak ona wygląda! Po raz pierwszy nazwę tę usłyszałem, mając siedem lat. Surowe mamy z naszej ulicy ostrzegały: – Dzieci, bądźcie grzeczne, bo was wywiozą na Sybir! (Mówiły z rosyjska – Sybir, bo to brzmiało groźnie, bardziej apokaliptycznie). Łagodne mamy oburzały się: – Jak można dzieci tak straszyć!

Właściwie nie sposób było wyobrazić sobie Syberii. Dopiero jeden z kolegów pokazał mi w książce rysunek: w gęstej, śnieżnej zamieci szła kolumna oberwanych i skulonych ludzi. Do rąk i nóg mieli przykute ciężkie łańcu-

chy zakończone żelaznymi kulami, które wlekli za sobą po ziemi.

Syberia, w swojej złowrogiej, okrutnej postaci, to mroźna, lodowata przestrzeń + dyktatura.

W wielu państwach istnieją obszary lodowate, ziemie przez większą część roku skute mrozem, martwe. Takie są np. wielkie połacie Kanady. Weźmy duńską Grenlandię albo amerykańską Alaskę. A jednak nikomu nie przychodzi do głowy straszyć dzieci: umyj ręczki, bo ześlą cię do Kanady! Albo: baw się grzecznie z tą dziewczynką, bo wywiozą cię do Ameryki! W tamtych krajach po prostu nie ma dyktatury, nikt nikogo nie zakuwa w kajdany, nikt nie więzi w obozach, nie wysyła do pracy w potępieńczy mroź, na pewną śmierć. Tam człowiek ma jednego przeciwnika – zimno. Tu aż trzech – zimno, głód i uzbrojoną przemoc.

W 1842, w Paryżu, Adam Mickiewicz wygłosił dwa wykłady w Collège de France o pamiętnikach generała Kopcia. Kopeć walczył u boku Kościuszki pod Maciejowicami i tam wzięty do niewoli został przez Rosjan skazany na Sybir. Kopcia wieźli jakieś 10 tysięcy kilometrów po bezdrożach Rosji i Syberii na Kamczatkę.

Była to prawdziwa droga przez piekło.

Wieźli, jak pisze generał, w kubitce, „która miała model kufra, obita wkoło skórą, a w środku żelazną blachą, z boku tylko okienko dla podania wody lub jedzenia”.

„Ten kufer, opowiada dalej Kopeć, był bez żadnego siedzenia, a że byłem z ran niewyleczony, dawano mi wór z słomą i włożony był na mnie tytuł aresztanta sekretnego z numerem tylko, bez imienia. Jest to u nich w takim rodzaju aresztant największy kryminalista, z którym nikt pod największą karą nie może rozmawiać ani też wiedzieć, jak się nazywa i za co wzięty”.

Wieziony w kubitce jak w zatrzaśniętej wiekiem trumnie, tylko po dźwiękach domyślał się, gdzie jest. Słyszając turkot bruku, sądził, że są w mieście: „Szóstego dnia po-

słyszałem turkot bruku, był to Smoleńsk”. Z ciemnej kibitki wsadzają go prosto do ciemnej celi, tak że Kopeć nigdy nie może się zorientować, czy jest dzień, czy noc: „Były tam dwa okna z kratami żelaznymi, przebijane czarnymi deskami, aby nigdzieienne światło wchodzić nie mogło. Trzeba było zgadywać noc lub dzień, warta ani słowa nigdy do mnie mówić nie chciała”. Udręczony podróżą, Kopeć jednak nie może spać – punkt postoju na drodze w głąb Syberii to miejsce kaźni: „Sypiać nie mogłem: słyhać mi się zdawało poza innymi murami obok mnie jakieś różne bicia, katowania i szczęk kajdan”.

Wloką generała na śledztwo. „Pytają Kopcia, pisze Mickiewicz, jaka była przyczyna jego buntu. Miłość ojczyzny – odpowiada. Komisja oburza się na tę odpowiedź i przerywa przesłuchanie, nie mogąc ścierpieć dumy więźnia”.

Dalej wiozą Kopcia na wschód. „Od Smoleńska do Irkucka, wspomina generał, trzech żołnierzy z mojej straży zginęło, inni nogi albo ręce połamali z wierzchołka mojej kibitki. Gdy pijani i nieuważni z gór lecieli, zdarzało się to często, że kiedy rozpędzą konie, kibitka się wywraca i konie wleką po ćwierć mili, a ja zamknięty tłukę się jak śledź w beczce, lecz że byłem obwijany worem, sieczką i słomą, to mnie ratowało”.

Mimo że wieziony w kibitce-trumnie, generał ma świadomość pewnego uprzywilejowania – jego wiozą, innych pędzą latami piechotą: „Na drodze napotykałem po kilkaset ludzi obojej płci, na zsyłkę pędzonych ku Irkuckowi, przy małej bardzo straży, których od kolonii do kolonii przesyłają i ledwo w końcu trzeciego roku z Europy do Irkucka przybywają. Uciec tam żaden nie może, gdyż nigdzie nie masz pobocznych kolonii... gdyby zaś który chciał z niewolników w bok gdzie się schronić do lasu, zostanie od zwierząt zjedzony...”.

Ta wędrówka zesłańca nie jest tylko przemieszczaniem się w miejscu i w czasie. Towarzyszy mu bowiem pro-

ces odczłowieczenia: ten, który dotrze do kresu (o ile po drodze nie umrze), został już pozbawiony wszystkiego, co ludzkie. Nie ma nazwiska, nie wie, gdzie jest, nie wie, co z nim zrobić. Odebrano mu język: nikt z nim nie chce rozmawiać. Jest przesyłką, jest rzeczą, jest igraszką.

Potem jenerała pozbawiają nawet kibitki, gnają go piechotą: „Szliśmy zawsze od rana do wieczora bez popasu”.

I dodaje:

„drogi żadnej, tylko strasznymi górami i wąwozami”.

## Ułan-Ude – Krasnojarsk

„drogi żadnej, tylko strasznymi górami i wąwozami”.

Marzyłem zobaczyć Bajkał, ale była noc, czarna plama w oszronionej ramie okna. Dopiero rano ujrzałem góry i wąwozy. Wszystko w śniegu.

Śnieg i śnieg.

Jest styczeń, środek syberyjskiej zimy.

Za oknem wszystko wydaje się zeszywniałe z zima, nawet jodły, sosny i świerki wyglądają jak wielkie, skamieniałe sople, wystające ze śniegu ciemnozielone stalagmity.

Nieruchomość, nieruchomość tego pejzażu, jakby pociął stał w miejscu, jakby był tej okolicy częścią – też nieruchomy.

I biel – wszędzie biel, oślepiająca, niezgłębiona, absolutna. Biel, która wciąga, a jeżeli ktoś da się jej uwieść, da się schwytać w pułapkę i pójdzie dalej, w głąb bieli – zginie. Biel niszczy wszystkich, którzy próbują zbliżyć się do niej, poznać jej tajemnicę. Strąca ich z wyżyn górskich, porzuca zamarznionych na śnieżnych równinach. Syberyjscy Buriaci traktują wszelkie białe zwierzę jako święte, wierzą, że zabić je, to popełnić grzech i ściągnąć na siebie śmierć. Patrzą oni na białą Syberię jak na świątynię, w której zamieszkuje bóg. Kłaniają się jej równi-

nom, oddają hołd jej krajobrazom, ciągle strwożeni, że stamtąd, z białych głębin, przyjdzie śmierć.

Biel często kojarzy się z ostatecznością, z kresem, ze śmiercią. W tych kulturach, w których ludzie żyją lękiem przed śmiercią, żałobnicy ubierają się na czarno, żeby odstraszyć od siebie śmierć, izolować ją, ograniczyć do zmarłego. Tam jednak, gdzie śmierć jest uważana za inną formę, inną postać istnienia, żałobnicy ubierają się na białe i na białe ubierają zmarłego: biel jest tu kolorem akceptacji, zgody, przystania na los.

Coś w tym styczniowym, syberyjskim pejzażu obezwładnia, przygniata, poraża. Przede wszystkim jego ogrom, jego bezgraniczność, jego oceaniczna bezkresność. Ziemia nie ma tu końca, świat nie ma końca. Człowiek nie jest stworzony na taką bez-miarę. Dla niego wygodną, uchwytną, poręczną jest miara jego wsi, jego pola, ulicy, domu. Na morzu taką miarą będzie wielkość okrętowego pokładu. Człowiek jest stworzony na taką przestrzeń, aby mógł ją przejść za jednym razem, za jednym wysiłkiem.

## Krasnojarsk – Nowosybirsk

Za Krasnojarskiem (czwarty już dzień podróży?) zaczęło się rozwidniać (o tej porze roku przez większą część doby panuje tu ciemność). Piję herbatę i wyglądam przez okno. Ta sama równina śnieżna co wczoraj. Co przed-wczoraj (a chciałem już z rozpędu dodać: co przed rokiem. Przed wiekami). Te same masywy leśne. Te same ostępy i polany, a na otwartych przestrzeniach wysokie zasypy śniegu, wyrzeźbione przez wiatr w najprzedziwniejsze kształty.

Nagle przypomina mi się Cendrars i jego *Proza transsyberyjskiej kolei i małej Żanny z Francji*. W tym wierszu, napisanym jeszcze przed I wojną światową, Cendrars opisuje podróż tą samą linią, ale w przeciwnym kierunku

---

Na przełomie lat 80. i 90. XX wieku, w obliczu załamania się ZSRR, Ryszarda Kapuścińskiego porwał nowy temat. Sięgnął do wspomnień z dzieciństwa, kiedy do jego rodzinnego Pińska wkroczyła Armia Czerwona wraz z NKWD, przywołał swoje podróże po Związku Radzieckim z lat 50. i 60. Wreszcie przedsięwziął nowe wyprawy – od Białorusi po Ocean Spokojny i od Workuty po Kaukaz. Powstało dzieło, o którym sam powiedział:

*...w trakcie pisania książki rozpadowi uległ jej główny przedmiot i temat – wielkie mocarstwo sowieckie. Na jego miejsce powstają nowe państwa, a wśród nich – Rosja, ogromny kraj, zamieszkały przez naród, który od wieków ożywiała i jednoczyła ambicja imperialna.*

*Książka ta nie jest ani historią Rosji i byłego ZSRR, ani historią narodzin i upadku komunizmu w tym państwie, ani też podręcznym kompendium wiedzy o Imperium.*

*Jest ona osobistą relacją z podróży, jakie odbyłem po wielkich obszarach tego kraju (czy raczej – tej części świata), starając się dotrzeć tam, gdzie mi pozwoliły czas, siły i możliwości.*

---

ISBN 978-83-07-03457-7



9 788307 034577

[www.czytelnik.pl](http://www.czytelnik.pl)